

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 14 (2018)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Jerzy Kwiatkowski, 485 dni na Majdanku, Lublin: Państwowe Muzeum na Majdanku, 2018, 440 s.

Bartłomiej Krupa
Instytut Badań Literackich PAN

bartlomiej.krupa@ibl.waw.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0002-9003-4225

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.106
Strony/Pages: 690-696

CC BY

OPEN ACCESS

Bartłomiej Krupa

Instytut Badań Literackich PAN
orcid.org/0000-0002-9003-4225
bartlomiej.krupa@ibl.waw.pl

Jerzy Kwiatkowski, *485 dni na Majdanku*, Lublin: Państwowe Muzeum na Majdanku, 2018, 440 s.

O wspomnieniach Jerzego Kwiatkowskiego, których trzecie wydanie ukazało się właśnie nakładem Państwowego Muzeum na Majdanku, pisać można przynajmniej z dwu perspektyw. Kwestia ta dotyczy zresztą wszystkich edycji świadectw, które wymagają – moim zdaniem – właśnie takiego dwutorowego podejścia. Po pierwsze, trzeba zwrócić uwagę na stronę edytorską, na wierność oryginałowi, adekwatność komentarza, staranność opracowania. Innymi słowy, na to wszystko, co stanowi o jakości danego wydania. Po drugie, warto się przyjrzeć samej relacji, temu, co ona wnosi, czego się z niej dowiadujemy, ale też temu, co ona przemilcza, stosunkowi autora do opisywanej rzeczywistości, stylowi, a zatem wszystkiemu, co stanowi o jej specyfice. Taki dwuczęściowy układ omówienia postanowiłem przyjąć i tym razem. Zacznę od cech samej edycji.

Od razu na wstępie wyrażę swoją opinię. Uważam, że nowe wydanie wspomnień Kwiatkowskiego jest wzorcowe, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Może stanowić wzór, drogowskaz dla innych edytorów, jak powinno się przygotowywać tego typu teksty. Za redakcję naukową tomu odpowiadał Wojciech Lenarczyk – historyk, pracownik Działu Naukowego Państwowego Muzeum na Majdanku. On też jest autorem wstępu zatytułowanego *Jerzy Kwiatkowski i jego dzieło* (s. 5–27). Dowiadujemy się z niego wszystkiego, co konieczne, by lepiej zrozumieć, jaką osobą był autor, a co za tym idzie – również jego relację. Poznajemy także okoliczności powstania dwóch poprzednich wydań, w tym długą drogę przygotowywania samego kształtu tekstu, co doprowadziło do „głębokich ingerencji stylistycznych, pamiętnik poddano [bowiem] obróbce merytorycznej" (s. 16). Wprowadzenie jest też dowodem na wykonanie niezwykle sumiennej pracy przez Lenarczyka, o czym świadczy lista odsyłaczy do dokumentów, rozsianych po rozmaitych archiwach w Polsce i za granicą (Archiwum Państwowego Muzeum na Majdanku, Archiwum Państwowe w Lublinie, Centralne Archiwum Wojskowe, Hoover Institution Library & Archives, archiwum rodzinne).

Spośród głosów na temat pierwszej edycji książki Lenarczyk wybrał jedynie „kilka reprezentatywnych przykładów" (s. 22), co jest zrozumiałe. Żałuję jednak, że wśród nich nie zwrócił baczniejszej uwagi na głos Stanisława Wygodzkiego z 1967 r. Wygodzki nie tylko sam przeżył Auschwitz, Oranienburg-Sach-

senhausen i Dachau, doskonale zatem znał realia kacetu, lecz przede wszystkim był polskim Żydem, który stracił w obozie żonę i córkę, jednym z ważniejszych powojennych poetów Zagłady i autorem doskonałych opowiadań, który w dodatku swoją recenzję przygotowywał tuż przed marcową nagonką antysemicką i przed swoją przymusową emigracją do Izraela w styczniu 1968 r. Głos Wygodzkiego wydaje mi się więc niezwykle istotny. Fragment dotyczący recepcji wspomnień można było zatem nieco pogłębić, gdyż zdanie: „Łącznie w prasie krajowej i zagranicznej ukazało się kilkadziesiąt bez wyjątku pochlebnych omówień i recenzji *485 dni na Majdanku*" (s. 21) budzi jednak pewien niedosyt. Czy rzeczywiście nikt, oprócz recenzentów odrzucających początkowo ten tekst, nie dostrzegł słabości lub przynajmniej miejsc dyskusyjnych w narracji Kwiatkowskiego?

Wstęp mógł też zostać nieco staranniej przygotowany pod kątem językowym. Przykładowo w zdaniu: „Fragment wspomnień dotyczący masakry Żydów 3 i 4 listopada 1943 r. został przedrukowany w przygotowanej w Stanach Zjednoczonych zbiorówce *Biografia byłych więźniów politycznych niemieckich obozów koncentracyjnych*" (s. 25), zarówno określenie „masakra Żydów" w odniesieniu do akcji Ernfest – choć najwyraźniej wprowadzone za samym źródłem (*vide* rozdz. *Masakra 17 000 Żydów*) – jak i słowo „zbiorówka" w odniesieniu do pracy zbiorowej brzmią nazbyt kolokwialnie.

Na osobną uwagę zasługuje znakomita, obszerna, a zarazem wyczerpująca *Nota edytorska* (s. 29–35) autorstwa Doroty Niedziałkowskiej, która odpowiadała za opracowanie edytorskie, redakcję językową i korektę tego wydania. *Nota* pogłębia wprowadzenie Lenarczyka i wyjaśnia na poziomie tekstu zawiłości (pięć różniących się od siebie rękopisów, dostępnych w dwóch archiwach), a także przedstawia specyfikę wspomnień Kwiatkowskiego oraz dotychczasowe ingerencje w ich kształt. Szczególnie warta zapamiętania i powtarzania przy innych podobnych opracowaniach jest decyzja zachowania wierności oryginałowi. „Państwowe Muzeum na Majdanku uznało, że najlepszym rozwiązaniem będzie wydanie wspomnień Kwiatkowskiego w pierwotnym kształcie, wolnych od redakcyjnych zmian, poprawek, cięć i dopisków, także bez większych upiększeń stylistycznych" (s. 26) – pisze Lenarczyk. „Obecne wydanie może zostać uznane za niedopracowane pod względem redakcyjnym, ale w innym wypadku nasze postępowanie nie różniłoby się od naszych poprzedników, którzy głęboko ingerowali w tekst" (s. 33) – dodaje Niedziałkowska. Gest zachowania pierwowzoru powinien należeć do standardów edytorstwa źródeł, a przecież nierzadko dzieje się inaczej, choć – jak słusznie zauważa edytorka – zaczyna się to zmieniać i obecnie funkcjonuje „dużo mniej dowolny [niż kiedyś], standard opracowania edytorskiego i wydawniczego tekstu, mającego w pierwszej kolejności rangę źródła historycznego" (s. 33). Rozumiejąc decyzję o pominięciu odautorskiego posłowia, obecnego w poprzednich wydaniach z lat 1966 i 1988, ponieważ powielałoby informacje ze wstępu, zauważę tylko, że mogło ono zostać dołączone np. w formie aneksu na końcu.

Sama relacja składa się z trzech obszernych części, które zostały podzielone na tematyczne rozdziały-kapsułki, np. poświęcone wybranym zagadnieniom z życia obozu (*Choroby i choróbska*, *Kategorie więźniów*, *Paczki żywnościowe*, *Sexualnot* itp.), metodom represji (*Pierwsze baty*, *Szubienice i selekcja do gazu*), losom bohatera (*Widzenie się z bratem*, *Nadanie mi fluchpunktu*, *Mój tyfus*) oraz członkom załogi obozu i poszczególnym funkcyjnym (*Peter Birzer*, *Herr Knips*, *Marmorstein*, *Skrzypek Hessel*). Z noty edytorskiej wiemy, że podział ten wprowadził autor w swoim egzemplarzu, który następnie trafił do Archiwum Hoovera. W drugim maszynopisie z 1945 r., zdeponowanym na Majdanku, brakuje śródtytułów (s. 30). Całość relacji zachowuje jednocześnie układ chronologiczny – od momentu wysiadki autora razem z transportem z Pawiaka na dworcu towarowym w Lublinie 25 marca 1943 r., aż do momentu ewakuacji obozu 22 lipca 1944 r. przez Kraśnik, Annopol, Skarżysko-Kamienną do Oświęcimia, gdzie autor dostaje numer 190513. W formie retrospekcji Kwiatkowski wspomina również okoliczności swojego aresztowania (s. 218–222) i wojskową przeszłość (s. 371–372). Narrację uzupełniają zdjęcia, szkice i fotokopie dokumentów pochodzące ze spuścizny autora oraz bardzo poręczny *Słownik wyrażeń niemieckojęzycznych* i indeks.

Przede wszystkim podkreślić trzeba to, co dostrzegli już pierwsi recenzenci oraz sami wydawcy. Sporządzone zaraz po wojnie, w grudniu 1945 r., w Maczkowie, wspomnienia Kwiatkowskiego wyróżniają się niebywałym bogactwem szczegółów i wyraźną wartością poznawczą. Na przykład Karol Mórawski w popularnym magazynie historycznym „Mówią Wieki" zauważał: „Pisane na gorąco tuż po wyzwoleniu i zakończeniu wojny wspomnienia mają ogromną wartość dokumentalną, opierają się bowiem na świeżej pamięci doznanych przeżyć, wolnej od pomyłek charakterystycznych dla relacji pisanych po latach" („Mówią Wieki" 1967, nr 9, s. 38). Niewątpliwie rację miała też Zofia Murawska, a za nią Wojciech Lenarczyk, który pisze, że w ocenie recenzentki „*485 dni na Majdanku* należałoby raczej nazwać encyklopedią obozu koncentracyjnego w Lublinie niż zwyczajnym tekstem wspomnieniowym" (s. 23), „swoistym kompendium wiedzy o KL Lublin" (s. 16).

Podobnie oceniał tę książkę przywoływany już Stanisław Wygodzki w recenzji *Majdanek w oczach pamiętnikarza*, nazywając świadectwo Kwiatkowskiego monografią Majdanka. Jak wyjaśniał: „[jest] to monografia w dosłownym znaczeniu, autor poznał cały teren, jego urządzenia, pracował w obozie bądź jako ogrodnik (to słowo prosi się o cudzysłów), bądź jako «urzędnik» kancelarii obozowej, co umożliwiło mu bliskiej przyglądanie się tak zwanej papierkowej robocie, pozostającej w najbliższym związku z praktyką ludobójczą" („Nowe Książki" 1967, nr 7, s. 419).

Pozycja autora stanowi jednak zarówno o sile tego świadectwa, jak i jego słabości. Najbardziej w samej narracji brakuje mi bowiem właśnie świadomości uprzywilejowania. Już na początku pobytu na Majdanku Kwiatkowski zostaje sekcyjnym. Pisał: „Mam około 40 ludzi" (s. 50). Wkrótce zarządzał „dobrym" komandem ogrodniczym, dzięki temu, że płynnie mówił po niemiecku, zdobył

uznanie załogi, wreszcie został vorarbeiterem (s. 144), później zaś dostał przydział do kancelarii (s. 247), a więc cennej pracy pod dachem, gdzie w pokoju sypialnym była pościel i nawet stał piecyk (s. 255).

Wydaje się – pokuszę się tu, z całą świadomością mojej zewnętrznej, komfortowej pozycji i ryzykowności podobnego zabiegu – że autor przyjmował to jako rzecz sobie należną. Pochodzący z inteligenckiej rodziny, kształcony w Wiedniu i Czerniowcach, doktor nauk prawnych, antykomunista przyzwyczajony do pełnienia funkcji kierowniczych (przed wojną był wicedyrektorem Polskiego Banku Przemysłowego, współkierownikiem Mazowieckiej Spółki Wydawniczej oraz współwłaścicielem fabryki obrabiarek „Pionier"), swój uprzywilejowany status w obozie traktował jako rzecz oczywistą. Przemawiała wręcz przez niego wyższość klasowa i swoisty inteligencki snobizm – z ludźmi o niższym statusie wyraźnie się nie solidaryzował, wręcz ich nie rozumiał, nawet jeśli niekiedy im pomagał (np. wysiedleńcom z Zamojszczyzny, którzy trafili na Majdanek latem 1943 r., rozdz. *14 tysięcy chłopów*). Na potwierdzenie kilka cytatów:

– „Wytworzył się wulgarny, ordynarny, prostaczy słowiański język obozowy" (s. 118);

– „Ludzie ze Wschodu, wśród nich Azjaci, może w domu nie mieli takiego komfortu jak tu, z własnym łóżkiem i kocami" (s. 118);

– „Byle opryszkowi, który kobiety zagadnął po niemiecku, stają się one powolne. Ot, ruja, splunąć albo zapłakać" (s. 202);

– „Teraz wyjeżdża prawdziwy «Majdanek», najlepsi synowie Polski, ci, którzy cierpią za idee w obozie, którzy dumni są ze swych pasiaków, elita Majdanka. To, co poprzednio wyjechało, to szumowiny, szmuglerzy, kryminaliści, kombinatorzy, element aspołeczny..." (s. 339).

Autor uznał nawet, że kary fizyczne w obozie są uprawnione: „Bicie przez blokowych przestaje więc robić wrażenie na otoczeniu, bo jest ono przeważnie zasłużone, a uwagi i monity słowne rzadko wywołują u prostych ludzi jakiś rezonans w ich ambicji" (s. 120). Jako były oficer ck armii i rotmistrz przeniesiony w 1922 r. do rezerwy wygłasza też takie dyskusyjne zdania jak: „Wszyscy ci, którzy w wojsku służyli, znacznie prędzej i łatwiej potrafili się nagiąć do tego twardego reżimu niż ludzie, którzy nigdy nie zaznali życia koszarowego" (s. 131), jakby nie dostrzegając poważnych zagrożeń płynących z militaryzmu, który przecież ufundował Trzecią Rzeszę.

W potoku faktów i opisów trzeba zatem pamiętać o specyficznej, uprzywilejowanej pozycji narratora. Nigdzie – co być może ważniejsze – w *485 dniach na Majdanku* nie znajdziemy śladów stawiania odważnych pytań samemu sobie. Nawet wtedy, kiedy autor dostrzega własne zobojętnienie („Jeżeli codziennie nie wspominam o tych morderstwach i pokaleczeniach, to nie dlatego, że te wypadki ustały, lecz po prostu spowszedniały one. Człowiek oswaja się z tym i zdaje mu się, że tak już być musi", s. 190), pozostaje jakby obok opisywanych wydarzeń. Jednocześnie nie unika oceniania innych więźniów, co zresztą słusznie Lenarczyk traktuje jako atut (s. 19). Przypomnę jednak, że właśnie na tym polegała

arcydzielność pisanych w tym samym czasie opowiadań Tadeusza Borowskiego, że najwięcej wymagał od siebie. W głośnym pamflecie na *Z otchłani* Zofii Kossak-Szczuckiej pisał: „Nie wolno o Oświęcimiu pisać bezosobowo. Pierwszym obowiązkiem oświęcimiaków jest zdać sprawę z tego, co to obóz – tak, ale niech nie zapominają, że czytelnik, który czyta ich relacje i przebrnie wreszcie przez wszystkie okropności, nie odmiennie zapyta: «No, dobrze, a jak to się stało, że właśnie pan(i) przeżył(a)?». Nie ma co staczać z sobą polemiki, dowodzić, że rozsądnie było udzielać z paczek w miarę lub spełniać jakieś tam chrześcijańskie posługi. Nie ma co: opowiedzcie wreszcie, jak kupowaliście miejsca w szpitalu, na dobrych komandach, jak spychaliście do komina muzułmanów, jak kupowaliście kobiety i mężczyzn, co robiliście w Unterkunftach, Kanadach, Krankenbaumach, na obozie cygańskim, opowiedzcie to i jeszcze wiele drobnych rzeczy, opowiedzcie o dniu codziennym obozu, o organizacji, o hierarchii strachu, o samotności każdego człowieka. Ale piszcie, że właśnie wyście to robili! Że cząstka ponurej sławy Oświęcimia i wam się należy! Może nie, co?" (Tadeusz Borowski, *Alicja w krainie czarów*, „Pokolenie" 1947, nr 1, s. 9).

W *485 dniach na Majdanku* próżno szukać podobnej, postulowanej przez Borowskiego perspektywy. Kwiatkowski pisał wprawdzie o braku solidarności i negatywnych postawach więźniów (rozdz. *Głód i szakale*) oraz o okolicznej ludności („Pierwsze kontakty ze społeczeństwem miejscowym zrobiły na mnie ujemne wrażenie. Czy nie zdają oni sobie sprawy, jak my tu żyjemy i cierpimy, czy też jest to egoizm w najwyższym stopniu?", s. 94; „Muszę przykrą rzecz stwierdzić, że ci robotnicy i furmani, którzy się z obozem stykali, egzaminu nie zdali", s. 136), ukazuje też „konflikty rozdzierające różne grupy walczących o przetrwanie więźniów" (s. 19), wydaje się jednak, iż siebie z owego zbioru wyłącza. Tymczasem właśnie od Borowskiego wiemy, że na tym polegał tragizm systemu obozowego, że zmuszał on wszystkich, którzy chcieli przeżyć, do moralnych uników. Zdawał sobie z tego sprawę również Kwiatkowski, zauważając przenikliwie: „To właśnie jest perfidią całej organizacji obozów przez SS, że cały system udręczania ludzi był wprawdzie przez nich samych obmyślany, ale realizacja jego jest przerzucona na samych więźniów, którzy jako lagerältesterzy, kapowie, vorarbeiterzy, blokowi, lekarze, kalifaktorzy muszą pod osobistą odpowiedzialnością wykonywać pewien szczegół tego diabelskiego reżimu męczenia ludzi" (s. 85–86). Własnej uprzywilejowanej pozycji jednak nie poddał autorefleksji, choć sam był przecież vorarbeiterem (kłania się zlagrowany Tadek z *Dnia na Harmenzach* Borowskiego).

Jeszcze jedna rzecz budzi mój niepokój. Jest nią ambiwalentny, by nie napisać niechętny, stosunek autora do żydowskich więźniów i Żydów w ogóle. Przybycie do obozu i rejestrację relacjonuje: „Stosownie do wezwania oddaję moje złote spinki do depozytu. Więzień mówiący wybitnie żydowskim akcentem ze zdziwieniem, a może pewną zachłannością w tonacji głosu, pyta, czy to prawdziwe złoto, zatrzymuje spinki w garści i woła już następnego więźnia, mówiąc mi przez ramię, iż spinki zapisane będą do mego depozytu, pod moim numerem, ale ani nawet numeru mojego nie notuje. Medalik mój srebrny z Matką Boską

Częstochowską, który dostałem, wyruszając na I wojnę światową, rzuca więzień o typie żydowskim na ziemię jako rzecz bezwartościową" (s. 41). Prawdopodobnie sytuacja z medalikiem oburzyła autora, który pozostał w obozie osobą wierzącą. Wspomina np., że w czasie apelów się modlił („Jedyny czas w ciągu doby, kiedy mogę się skupić, spokojnie pacierz odmówić i zapatrzony w chmury, księżyc, zachodzące słońce, oderwać się od rzeczywistości", s. 139), a jego największym skarbem, gdy chorował na tyfus, była *Antologia poezji religijnej* (s. 358).

Stereotypów chciwych Żydów, Żydów-krwiopijców czy Żydów-antychrześcijan jest niestety w opowieści Kwiatkowskiego więcej:

„Szczególnie kalifaktorzy żydowscy wyzyskują i okradają chorych na każdym kroku. [...] Z powodu nagminnej nienawiści, z jaką Żydzi na funkcjach (przeważnie słowaccy) odnoszą się do Polaków, mogą Polacy tylko w wyjątkowych wypadkach być wysłuchani lub dojść do głosu" (s. 116);

„Na wolności pozamykali Niemcy Żydów do getta, zmuszają ich do zdejmowania czapek przed sobą, przedstawiają Żydów jako wyrzutków społeczeństwa, którzy muszą być wytępieni, a tutaj, w obozie koncentracyjnym, rządzą Żydzi Aryjczykami, Żydzi noszą baty, a Aryjczycy muszą przed nimi na baczność stawać i czapki zdejmować. Żydzi mówią tu do Aryjczyków per «ty», a Aryjczycy per «pan» do Żyda! Żydzi są za pan brat z SS-manami, Żydzi biją do krwi chrześcijan. Wszystko na odwrót jak w *Mein Kampf*. Skąd te przywileje żydowskie?" (s. 128–129);

„Znając zaś zmysł spekulacyjny Żydów, którego się oni w obozie wyzbyć nie mogą, nie mam gwarancji, że pośrednik mimo mej odmowy nie będzie inkasował haraczu tygodniowego od swych protegowanych" (s. 158).

Według Kwiatkowskiego, nawet biczowanie Żydzi znoszą gorzej niż Polacy: „Nieludzkie wycia i ryki wydają Żydzi przy biciu, opanowani są Polacy, podziwiam niektórych, którzy do krwi palce pogryźli, a głośno nie krzyknęli" (s. 113). Również w sformułowaniach typy: „Żydki słowackie" (s. 58) oraz „Czy będzie tam poważniejszy kierownik szpitala od «kierownika» izby chorych, doktora Goldberga, pochodzącego z Lubelskiego, a nieumiejącego mówić poprawnie po polsku?" (s. 81), trudno nie dostrzec poczucia wyższości. Jednocześnie żydowskich członków swojego komanda traktuje protekcjonalnie („Moi żydowscy ogrodnicy pourządzali się", s. 176), co doskonale oddaje – jak sądzę – nastawienie sporej części międzywojennego polskiego społeczeństwa, która antysemityzm godziła z jednoczesnym hołubieniem „swoich Żydów".

Podobną niechęć narrator ujawnia zresztą również w stosunku do więźniów innych nacji. O Rosjanach pisze np.: „Chodzą między nami Rosjanie, którzy proszą o oddanie im «niedojadków», oni są niewybredni co do jedzenia!" (s. 50), „Zakaz pracy Rosjan za drutami został uchylony. Trochę wypłynie tej plagi za druty i atmosfera na polu będzie w ciągu dnia przyjemniejsza" (s. 209) lub „Ponieważ Rosjanie stanowią 50% obozu, równocześnie w swoim prymitywnym sposobie bycia są głośni, hałaśliwi, nieokiełznani, zawadiaccy, więc oni nadają kamerton obozowi, wyrośli w stepie, nie umiejąc spokojnie ze sobą rozmawiać" (s. 117), ulegając wyraźnie stereotypowi dzikich Obcych ze wschodu.

Oddając jednak autorowi sprawiedliwość, zdobywa się na współczucie wobec zgładzonych („Wciąż mam w uszach płacz i lament, płaczą matki za dziećmi, płaczą dorosłe kobiety za niedołężnymi starymi matkami, rozpaczają mężowie za żonami, które nie chciały się rozstać z dziećmi", s. 149). Jego relacja zawiera jeden z najpełniejszych w naszej literaturze opisów wydarzeń 3 i 4 listopada 1943 r., czyli akcji „Erntefest". Rozdział *Masakra 17 000 Żydów* staje się rodzajem modlitwy za tych, których zabito.

Abstrahując od – wysoce ryzykownej, bo dokonywanej z zewnątrz – oceny mentalności i postawy, zauważę tylko, że autor tych wspomnień niespecjalnie daje się lubić, pod względem samoświadomości zaś, a zwłaszcza języka, relację Kwiatkowskiego trudno nazwać wybitną. Daleko jej nie tylko do swady i wyjątkowej czerniakowskiej dykcji *Pięciu lat kacetu* Stanisława Grzesiuka, lecz także do wstrząsających wspomnień Wiesława Kielara *Anus mundi* czy jednej z najbardziej moim zdaniem niedocenionych – *Refleksji z poczekalni do gazu* Stanisława Gawalewicza. Wyjątkowość tekstu tego ostatniego na tym też zresztą polega, że pisał go jakby z samego dna obozu, w odróżnieniu od Kwiatkowskiego, który próbował sportretować kacet niejako „od góry". Tym, co uderza w relacji Kwiatkowskiego, są również niezręczności i łamańce stylistyczne („Idę więc do Zagórskiego i proszę, by spowodował Zielińskiego, by wysłał depeszę do brata o powtórzenie treści listu", s. 101), o których wspomina też w nocie edytorskiej Dorota Niedziałkowska (s. 33). W ogóle charakterystyczne są ogólna kostyczność narracji (jeden z nielicznych wyjątków stanowi opis otrzymania listu od przyjaciółki i związany z tym wątek romansowy; s. 99) oraz całkowity brak komizmu, który nadawał płynność opowieści Grzesiuka czy Gawalewicza.

Nawet jeśli wydawcy nieco przeceniają wartość wspomnień Kwiatkowskiego („Niewielu było równie dobrze zorientowanych i przenikliwych świadków historii", s. 24) i nazywają je jednym „z bardziej znaczących tekstów literatury obozowej" (s. 26), atutem *485 dni na Majdanku* – uwypuklę to raz jeszcze – jest encyklopedyczne bogactwo szczegółów. Właśnie z faktograficznego punktu widzenia relacja Kwiatkowskiego z pewnością zasługuje na uwagę. Na pewno warto ją też mieć na półce, by móc do niej sięgać, tak jak sięga się do leksykonu czy słownika historycznego. Być może błędem jest wymaganie od wspomnień tego autora czegoś więcej.

Pomijając czysto kosmetyczne uwagi do wstępu i zastrzeżenia do samej relacji, podkreślę na koniec, że edycja została doskonale przygotowana. Raz jeszcze odwołam się do recenzji Wygodzkiego, opisującego perypetie z pierwszą publikacją „książki-pamiętnika", która długo nie mogła trafić do druku: „Przypadek […] zrządził, że autor – przebywający stale za granicą – zetknął się z mec. Hanną Romer-Pannenko z Polski, która pamiętnik zabrała do kraju dla Muzeum w Majdanku. Najwidoczniej w Muzeum tym pracują ludzie znający wagę dokumentu i należycie oceniający rękopisy" („Nowe Książki" 1967, nr 7, s. 418). Najwyraźniej pół wieku później nic się w tej mierze nie zmieniło i w lubelskim muzeum nadal pracują ludzie, którzy nie tylko należycie oceniają rękopisy, ale jeszcze umieją je świetnie wydawać.